

Reguły gry ...i kamieni kupa

19 czerwca 2014

Taśmy wstrząsają Polską. Blisko rok temu ktoś sporządził nagranie już to w celach komercyjnych, już to w celach dywersyjnych i podsunął go obecnie kilku redakcjom. Redakcja „Wprost” zwietrzyła interes i mamy skandal na ćwierćwiecze naszej samorządnej, niezależnej i niepełnosprawnej demokracji.

Czekałem na konferencję prasową Donalda Tuska, przeczuwając trochę, że strzeli samobójczą bramkę. Wcześniej z medialnego szumu udało mi się wyłović jeden głos, który był naprawdę ważny. Był to głos Leszka Balcerowicza, byłego wicepremiera i byłego szefa NBP, który stwierdził krótko: „Mamy do czynienia z konspiracją, której treścią jest układ polityczny. Szef NBP wikła się w politykę. To samo jest już naruszeniem niezależności NBP.”

Czego oczekiwałby człowiek w normalnym, demokratycznym kraju? Przesłuchania szefa centralnego banku przed Komisją Odpowiedzialności Konstytucyjnej, skierowania sprawy do Trybunału Konstytucyjnego z pytaniem, czy została naruszona Konstytucja, następnie (w przypadku potwierdzenia naruszenia zasad konstytucyjnych), uruchomienia procedur zmierzających do odwołania prezesa NBP.

Czego można było oczekiwać od premiera? Tu odpowiedź zależy od tego, czego nie znamy. Na konferencji prasowej w poniedziałek, 16 czerwca otrzymaliśmy zapewnienie, że Donald Tusk nie wysyłał ministra Sienkiewicza do prezesa Belki i wyraził opinię, że ta rozmowa nie wskazuje na przekroczenie prawa; powiedział, że nie widzi powodów do odwołania ministra Sienkiewicza i że był o tej rozmowie poinformowany. Co więcej, powiedział w formie osobliwego zarzutu, że spotkanie odbyło się z inicjatywy Marka Belki.

Marek Belka w odpowiedzi na pytania dziennikarzy powiedział,

że była to rozmowa „zatroskanych” panów.

Tak więc obecny premier i były premier, a obecny prezes centralnego banku, wydają się całkowicie nie rozumieć zasad demokracji.

Mamy w naszym Sejmie posła, który był niegdyś bramkarzem polskiej reprezentacji w piłce nożnej. Poseł Tomaszewski stwierdził kiedyś, że zostawszy posłem miał nadzieję, że znów będzie grał w reprezentacji swojego kraju. Czego poseł nie był w stanie zrozumieć, to tego, że zarówno w parlamentarnej polityce, jak i w piłce nożnej pierwszym warunkiem jest poszanowanie reguł gry. Gracz, który te reguły narusza, dostaje żółtą kartkę, kiedy je brutalnie łamie, dostaje kartkę czerwoną. Drużyna za łamanie reguł może być wyeliminowana z rozgrywek.

O ile poseł Tomaszewski może nie być świadomy tej analogii, to Donald Tusk i Marek Belka albo doskonale wiedzą, co się stało i próbują robić z nas idiotów, albo podobnie jak poseł Tomaszewski pozostają w błogiej nieświadomości tego, czym są reguły konstytucyjne i wtedy jest chyba jeszcze gorzej.

W komentarzach wielu zwraca uwagę na knajacki język naszych mężów stanu, w tym zamieszaniu mam wrażenie, że wszystkim komentującym umknęło zdanie Ministra Spraw Wewnętrznych na temat ówczesnego Ministra Finansów:

„Ja się boję w tej sytuacji jednej rzeczy. Że na to wszystko kolega Rostowski mówi: w życiu. W życiu, bo to nam zdevastuje opinię, bo to jest niewykonalne, bo tego nie wolno robić.”

Minister Spraw Wewnętrznych wypowiada o innym ministrze opinię, że jest nazbyt praworządny. Rada Polityki Pieniężnej jest w opinii prezesa NBP „pieprzona”, a Jerzy Hausner jest „dygotałny” (czyli prawdopodobnie nieskłonny do grania znaczonymi kratami).

Rozmawiający panowie są zatroskani o Polskę, łamią ład

konstytucyjny, w obawie przed powrotem groźnej dla demokracji partii „Prawo i Sprawiedliwość”, której cała historia jest związana z ustawicznym ignorowaniem konstytucyjnego ładu. Pytanie czy dalsza debata będzie dotyczyć meritum i czy podjęty zostanie wysiłek zrozumienia analogii między regułami gry w sporcie i regułami gry w państwie?

W pierwszej części rozmowy Bartłomiej Sienkiewicz mówi: „Są sygnały, że idzie ku lepszemu. Brakuje pieniędzy w budżecie, cięcia są niewystarczające. I mamy osiem miesięcy do wyborów. I PiS ma 43 proc. w sondażu. Idziemy w taki wariant w którym – nie czarujmy się – że tylko i wyłącznie ekonomika decyduje o ocenie stabilności kraju.”

O jakich wyborach mowa? Nagranie miało podobno powstać w lipcu 2013 roku. Wybory do parlamentu europejskiego były w maju 2014, wybory parlamentarne będą w listopadzie 2015 roku, wybory samorządowe będą w listopadzie 2014.

Pomińmy te niejasne szczegóły, ciekawsze jest stanowisko Jarosława Kaczyńskiego. Podczas wtorkowej konferencji prasowej Kaczyński podkreślił, że obecnie trwa test polskiej demokracji.

Kaczyński napisał również list do Bronisława Komorowskiego, w którym przypomniał mu, że jako prezydent jest zobowiązany do bronięcia konstytucji.

Jak pamiętamy partia Prawo i Sprawiedliwość wygrała w wyborach parlamentarnych 27 września 2005 r. prezes partii Jarosław Kaczyński wyznaczył na premiera Kazimierza Marcinkiewicza. 10 lipca 2006 r. Kazimierz Marcinkiewicz podał się do dymisji. Tego samego dnia Prezydent RP Lech Kaczyński desygnował swojego brata na stanowisko premiera. Od tego dnia zaczęła się pozaprawna kuracja zaciskania pasa cnoty przez zatroskanych o los ojczyzny.

Tradycję narodową w dziedzinie zaciskania pasa cnoty mamy ogromną, ale Jarosław Kaczyński z pomocą Mariusza Kamińskiego

i Antoniego Macierewicza, Andrzeja Leppera oraz Romana Giertycha osiągnęli tu wyjątkowo wysoki poziom, zarządzając drugą terapię szokową, której wynikiem miała być IV Rzeczpospolita.

Żeby zrozumieć istotę tej drugiej terapii szokowej, trzeba się być może cofnąć do pierwszej. Pomocą może tu być wydana w 2006 roku książka Witolda Gadomskiego: „Balcerowicz”. Jest to pozycja wydana przez „Świat Książki” w serii Autorytety i chyba lepiej niż jakakolwiek inna pojedyncza pozycja na rynku księgarskim ukazuje historię pierwszej terapii szokowej. Jest to w pewnym sensie studium polskiej niemożności. Przez pryzmat jednej postaci politycznej widzimy wyraźniej zjawiska, które próbowały opisać dziesiątki innych autorów.

Książka ukazała się na początku rządów braci Kaczyńskich i premiera Marcinkiewicza. Leszek Balcerowicz jest tylko jednym z wielu aktorów na tej scenie, ale to właśnie jego koncepcje były tym pierwszym pchnięciem kuli bilardowej. Jemu przypisuje się sukcesy transformacji i jemu przypisuje się winę za jej wszelkie niepowodzenia. Problem w tym, że nikt z nas nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, jak wyglądałaby ta transformacja, gdyby wybrano inne koncepcje, nikt nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, co by było, gdyby premier Mazowiecki nie kandydował w wyborach prezydenckich przeciwko Wałęsie, gdyby nie było rządu Olszewskiego, gdyby zdecydowano się na inną ordynację wyborczą, utrudniającą rozproszenie sceny politycznej. Wiemy natomiast, że okres niemal pełnego zaufania społeczeństwa do nowych władz był bardzo krótki, a po upadku rządu premiera Bieleckiego Leszek Balcerowicz nie był już architektem reform, a jedynie upartym obrońcą tego, co zdołał zbudować w pierwszych miesiącach.

Lektura tej książki jest wstrząsająca. Przypomina dwa inne momenty w historii Polski, kiedy była realna szansa na przerwanie tradycji okazjonalnego donowocześniania i na szybkie doszlusowanie do grupy państw najbardziej rozwiniętych. Pierwszym takim momentem była próba

przestawienia Polski na gospodarkę czynszową przez Kazimierza Wielkiego (gdyby to się udało, polscy intelektualiści rozumieliby dziś słowo farmer, które pochodzi od słowa czynsz, a nie jak im się wydaje od plantacji z dworkiem i niewolnikami), drugim była reformacja i szansa rozmontowania systemu opartego na przywilejach stanowych. W obydwu przypadkach reformy nie powiodły się ze względu na siłę grup broniących pozaprawnymi metodami swoich przywilejów.

Jak pisze Witold Gadomski, Balcerowicz doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że reformy muszą być przeprowadzone szybko i w tak zmasowanej skali, aby ich nie można było cofnąć. Natychmiast po zamknięciu książki Gadomskiego sięgnąłem ponownie do znakomitego artykułu Stefana Czarnowskiego z 1933 roku o „Reakcji katolickiej na przełomie XVI i XVII wieku”. Również wówczas o sukcesie lub klęsce decydowały miesiące. Kto nie zdołał błyskawicznie zmienić struktury społecznej, skazany był na uzależnienie nowej władzy od starych grup interesu, czyli od tych, którzy byli uprzywilejowani w systemie feudalnym i którzy w nowych warunkach walczyli raczej o wzmocnienie starych przywilejów niż o nowy porządek społeczny.

Balcerowicz, podobnie jak Kazimierz Wielki i jak zwolennicy reformacji, dążył do oparcia polskiej gospodarki na pieniądzu, jego przeciwnikami byli wszyscy ci, którzy chcieli podtrzymać odwieczne zasady podziału według „zasług”. W świadomości społecznej komunizm obalili robotnicy wielkich zakładów przemysłowych do spółki z Papieżem (fakt, że się rozpadał bez ich wysiłków, nikogo nie przekonuje), nowa władza była demokratyczna, ale równie ważne było tu poparcie wielkoprzemysłowych związków zawodowych. Przejście do systemu społecznego opartego na własności prywatnej i na przedsiębiorczości wymagało pokonania zasadniczej sprzeczności – likwidacji systemu nakazowo-rozdzielczego przez głównych beneficjentów tego systemu, ciągle odurzonych pasmem wytupanych podwyżek płac i wywalczonych na ulicach przywilejów.

Kiedy porównujemy klęskę reformacji i polityczną klęskę transformacji widzimy uderzająco podobne zjawiska. Ruch reformacyjny oparty na zamożnej, ale maleńkiej grupie magnatów (zainteresowanych oparciem gospodarki na pieniądzu i opartym głównie za kalwinizmem) oraz na słabej politycznie i narodowo obcej warstwie mieszczaństwa (głównie wyznania luterańskiego), nie mógł odnieść sukcesu. Szlachta folwarczna zainteresowana była religijną tolerancją, co pozwalało na ucieczkę od opłat kościelnych i utrzymanie gospodarki opartej na darmowej sile roboczej; stanowczo odrzucała obrzydliwy merkantylizm i wiele mówiła o swoim moralnym obowiązku opieki nad poddanymi. Odwołanie się do mieszczaństwa było niesłychanie trudne, zaś odwołanie się do chłopstwa było w zasadzie niemożliwe. Publicystyka szlachecka tamtego okresu jako żywo przypomina całkiem współczesne spory polityczne. Zatraskanych nie brakowało.

„Balcerowicz – pisze Witold Gadomski – zdaje sobie sprawę, że bez poparcia społecznego reformy ugrzęzną w miejscu.” To chyba dość oczywiste. Pytanie jaką wybrał strategię, aby to poparcie wzmocnić i czy mógł zrobić coś, co mogło być bardziej skuteczne? Część inteligencji (włącznie z Jackiem Kuroniem) nawracała się na liberalizm, ale była to raczej pośpieszna zmiana wyznania i gotowość walki o nową liturgię, która miała niewiele wspólnego nie tylko z rzeczywistym zrozumieniem gospodarki rynkowej, ale przede wszystkim z gotowością porzucenia przywilejów warstwy dworskiej. Natomiast dla robotników przemysłowych idea kapitalizmu i prywatnej własności fabryk wydawała się nie tylko niepojęta, ale i przerażająca.

Jedyną grupą, która mogła tego typu przemiany poprzeć bez obaw, byli prywatni przedsiębiorcy. Ilu ich było? Znacznie mniej niż na Węgrzech czy w Czechosłowacji, ale odpowiedź na to pytanie zależała w dużym stopniu od tego, czy do grupy prywatnych przedsiębiorców zaliczyć indywidualnych rolników, każde gospodarstwo chłopskie, czy też tylko rzemiosło i drobny

handel.

O błędach Balcerowicza można mówić tylko z perspektywy czasu. W chaosie ówczesnych wydarzeń wszystkie decyzje obarczone były dużym ryzykiem i niektóre decyzje musiały być błędne. Książka Gadomskiego dostarcza świetnego materiału do analizy, w szczególności, że prezentacja sposobu rozumowania Balcerowicza wydaje się niemal idealna. To, co początkowo jest w tej książce irytujące, czyli bezgraniczna fascynacja autora opisywaną postacią, w drugiej części staje się w pewnym sensie zaletą. Autor nie ma cienia dystansu do swojego bohatera, ale dzięki temu uzyskujemy bardzo wyraźne zbliżenie. Dla mnie, uderzające jest w szczególności to, czego w tej książce nie ma. Najbardziej zdumiewające, że nie pojawia się tu nazwisko pierwszego ministra sprawiedliwości, Aleksandra Bentkowskiego. Od chwili objęcia stanowiska w rządzie, Leszek Balcerowicz idzie jak burza przygotowując jedną po drugiej ustawy mające stanowić fundament gospodarki rynkowej. W rządzie Tadeusza Mazowieckiego Ministerstwo Rolnictwa oraz Ministerstwo Sprawiedliwości oddane zostały ZSL-owi jako nagroda za zmianę lojalności. Balcerowicz wie, że musi zapewnić warunki dla przedsiębiorczości, ale ponieważ wierzy bezgranicznie w niewidzialną rękę rynku, lekceważy koronny nakaz gospodarki rynkowej: że państwo musi być nocnym stróżem. Wydaje się być nieświadomy tego, że brak państwowych gwarancji dla umów handlowych, to wpuszczanie szczupaków do stawów z karpami. Wydaje się również nie wiedzieć również o innej regule – w Polsce nie można wygrać żadnych wyborów bez poparcia wsi i małych miast. Tam mieszka połowa wyborców.

Szansa, która była jesienią 1989 roku, już nie wróci, a jednak odpowiedź na pytanie, co się właściwie stało, jest nadal ważna. O zwycięstwie w czerwcowych wyborach zadecydowała wieś, gotowa głosować choćby na krowę, byle krowa miała znaczek „Solidarności”. Na wsi oznaczało to głosy przeciw ZSL. Niemal natychmiast po tych wyborach Wałęsa sprzymierzył się z ZSL-em, co było oczywistym policzkiem wymierzonym znacznej części

swoich wyborców. Nie potrzebujemy podsłuchów i taśm, żeby sobie wyobrazić atmosferę targów o sojusz „Solidarności” z ZSL.

Wieś i rolnictwo powracają w książce Gadomskiego bardzo często. Autor powtarza wszystkie mantry miejskiej inteligencji. „Ceny żywności, po ich uwolnieniu przez rząd Rakowskiego 1 sierpnia 1989 roku, idą ostro w górę. Zyskują na tym rolnicy, koszty inflacji ponosi miasto.” Najwyraźniej autor albo zapomniał, ale jest bardziej prawdopodobne, iż nigdy nawet nie pomyślał, że przygotowaniem do Okrągłego Stołu był rok nieustannych strajków, wymuszanych podwyżek płac, pokrywanych częściowo drukiem pustego pieniądza, częściowo wyżką cen zaopatrzenia wsi. Głosy wsi oddane na „Solidarność” były głosami oddanymi na gospodarkę rynkową, tymczasem w pięć minut po zwycięstwie „Solidarność” wchodzi w sojusz ze znienawidzonym ZSL, a owa gospodarka rynkowa okazje się prawem silniejszego. Balcerowicz zaproszony został do rządu jako ekonomista, nie jest politykiem, nie ma obowiązku myśleć o psychologii społecznej. Jego koledzy w rządzie, to ludzie, którzy jeszcze niedawno bredzili o mesjańskiej roli wielkomiejskich robotników przemysłowych, którzy nakręcali strajki roszczeniowe, pisali długie listy roszczeń, na które nie było i nie mogło być pieniędzy, zaś zasiadając w fotelach rządowych jak ognia bali się jednego, że teraz strajki robotnicze obróćą się przeciwko nim. (O wyborcach myśleć nie umieli, bo nie mieli na tym polu żadnego doświadczenia.)

Gadomski opisuje walkę Balcerowicza o „popiwek” i dramat niemożności wymuszenia rynkowych zachowań w przedsiębiorstwach państwowych. Miał nadzieję, że szybko rozrastać się będzie sektor prywatny i rzeczywiście rozwój przedsiębiorczości był rewolucyjny. Tu jednak dzieją się rzeczy niedobre. Po latach amerykański ekonomista Mancur Olson miał to określić zastąpieniem stacjonarnego bandyty, bandytą wędrownym.

W wyborach prezydenckich Mazowiecki nie wchodzi do drugiej tury, przegrywa z nikomu nieznanym Stanisławem Tymińskim.

Pisząca inteligencja nie zadaje sobie trudu szukania przyczyn dla tak gwałtownej zmiany postaw wyborczych, obraża się na wieś i małe miasteczko, bo tak jest najłatwiej. Gadomski opisuje podchody Kaczyńskich, mobilizację niezadowolonych i wojnę na górze. Bracia Kaczyńscy niemal od początku prą do rozbicia obozu solidarnościowego. Na początku 1990 roku budują Porozumienie Centrum. Jarosław Kaczyński, który zastąpił Mazowieckiego na stanowisku redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność”, namawia Wałęsę na „przyspieszenie procesu przemian”. W praktyce oznacza to zainicjowanie sporu na osi Wałęsa – Mazowiecki, odebranie znaku „Solidarności” „Gazecie Wyborczej”, odsunięcie doradców związanych z KOR. Wojna na górze oznacza również atak na Balcerowicza. To właśnie Jarosław Kaczyński mówi pierwszy, że Balcerowicz musi odejść.

Problem wsi pojawia się w książce Gadomskiego na co drugiej stronie. Przypomina sprawę kredytów, ale nie pisze, że przy tej okazji doprowadzono do bankructwa tysiące najbardziej aktywnych i najbardziej przedsiębiorczych mieszkańców wsi i małych miast. Nie da się przeprowadzić rzetelnej kalkulacji kosztów i strat w tej sprawie. Największą stratą była utrata zaufania do rządu. Nowy, niekomunistyczny rząd wydawał się oświadczać: umowy to bezwartościowy świstek papieru, a twierdzenie, że prawo nie powinno działać wstecz, to jakieś zawracanie głowy.

Najpierw zdrada Wałęsy, potem doprowadzenie do bankructwa najbardziej przedsiębiorczych rolników, pozostawienie ZSL-owi wolnej ręki w dziedzinie nomenklaturowej prywatyzacji w rolnictwie i, co być może jest najważniejsze, gwałtowna kryminalizacja otoczenia rolnictwa oraz kompletny brak ochrony prawnej drobnego przedsiębiorcy, a wreszcie bezmyślne rzucenie na rynek darmowej pomocy żywnościowej z Zachodu, z którą polski rolnik miał „konkurować” – wszystko to musiało zaowocować gwałtowną utratą zaufania do rządu i do takiej idei gospodarki rynkowej. Gadomski opisuje jak Balcerowicz cieszył się, kiedy jakiś rolnik otworzył sklep w Warszawie.

Przepraszam, ale jest to skrajna naiwność. Ilu rolników mogło otwierać sklepy w miastach? Znacznie poważniejsze jest pytanie, ilu przedsiębiorców już latem 1990 roku znalazło się w sytuacji, gdy nie mieli żadnych szans na pomoc prawną w przypadku rażącego naruszenia umowy handlowej. Minister Sprawiedliwości Aleksander Bentkowski nie zwracał sobie takimi sprawami głowy, wicepremier Balcerowicz o tym nie myślał, a nawróceni na liberalizm dziennikarze nie domyślali się, że to może być ważne. (Tam panował radosny mit, że w kapitalizmie zawsze pierwszy milion jest ukradziony.) Kiedy Andrzej Lepper po latach powie, że Balcerowicz był ojcem „Samoobrony”, był w tym łut gorzkiej prawdy. Wcześniej jednak na wysokiego konia populizmu wsiedli bracia Kaczyńscy. Po przegranej w wyborach prezydenckich Mazowieckiego na stanowisku szefa rządu zastępuje Jan Krzysztof Bielecki. Ta nominacja nie zachwyca braci Kaczyńskich, dla których jest to koronny dowód, że Wałęsa zamierza kontynuować linię wytyczoną przez rząd Tadeusza Mazowieckiego.

Tymczasem sam Balcerowicz stał przed dylematem, czy decydować się na prywatyzację szybką, czy raczej poświęcić trochę więcej czasu na jej lepsze przygotowanie. Było to właściwie pytanie o wybór mniejszego zła. Przedsiębiorstwa państwowe nie zmieniały swoich obyczajów, nie reagowały na rynek, notorycznie zwiększały swoje zadłużenie nie płacąc rachunków za elektryczność, na ubezpieczenia pracowników, nie płacąc podatków. Groźba prywatyzacji powodowała cichą i często przestępczą wyprzedaż mienia. Prasa coraz częściej pisze o aferach, z reguły w oparciu o plotki lub poufne dziennikarskie informacje, rzadziej w oparciu o dokumentację z sądów. Witold Gadowski tego epizodu akurat nie opisuje, ale kiedy Jan Olszewski zaczyna swoją krótką karierę premiera oświadcza, że „niewidzialna ręka rynku okazała się ręką gangstera”. Balcerowicz był wówczas bezgranicznie oburzony. Słusznie, gdyż Olszewski nie zamierzał bronić rynku, walczyć z korupcją i bronić świętości umowy handlowej. Gospodarcze koncepcje jego rządu do dziś nie są znane, gdyż jak się wydaje jedyną ideą

jego drużyny była patologiczna, antykomunistyczna obsesja. Niezależnie jednak od rozmiarów świętego oburzenia Balcerowicza, pozostawał realny problem całkowitej niewydolności systemu sprawiedliwości wobec problemu przestępczości gospodarczej. Środki masowego przekazu koncentrowały swoją uwagę na wielkich aferach gospodarczych, przy czym zarówno politycy, jak i dziennikarze z niezwykłą wprawą ujawniali korupcję w szeregach przeciwników politycznych i z niezwykłą swadą brali w obronę oskarżanych o przestępstwa partyjnych kolegów. Ta hipokryzja w błyskawicznym tempie niszczyła resztki zaufania do klasy politycznej.

Kto wie, czy jednak poważniejszym problemem nie było zjawisko niemal całkowicie pomijane przez środki masowego przekazu, czyli cwaniactwo wobec drobnego i bezbronnego przedsiębiorcy. Dziesiątki tysięcy rzemieślników załatwionych odmownie „na wydmuszkę”, dziesiątki tysięcy rolników, którym nie zapłacono, lub płacono z wielomiesięcznym opóźnieniem za dostarczony towar. Stwierdzenie Jana Olszewskiego było prawdziwe, jakkolwiek wypowiedziane w niecnym celu.

Po upadku rządu Krzysztofa Bieleckiego budowanie gospodarki rynkowej przestaje być celem samym w sobie. Zaczynają się gry, w których wszyscy walczą wyłącznie o zabezpieczenie swoich partykularnych interesów. Objęcie przez Balcerowicza funkcji przewodniczącego Unii Wolności było zapewne błędem (choć Gadomski jest w tej sprawie innego zdania). Być może zrobiłby więcej, gdyby wcześniej objął funkcję prezesa NBP (miał taką propozycję). Są to jednak spory jałowe i bez znaczenia. Tragedia Polski dziś jest podobna do tragedii Polski w czasach reformacji i w czasach Kazimierza Wielkiego. Zamiast modernizacji mamy donowocześnienie. Zamiast uczciwego rynku, mamy rynek cwaniacki, zamiast polityki, koński targ.

Spory o drogę do rynkowej gospodarki opartej na przejrzystym parlamentarnym systemie stają się nagle czymś niemal abstrakcyjnym. Już dawno nie to jest ważne. Większość reform, to reformy pozorowane, lub instrumentalne, mające zwiększyć

wpływy partii znajdującej się aktualnie u władzy.

W swoich artykułach na łamach „Gazety Wyborczej” Witold Gadomski nadal przekonuje czytelników, że przecież wszyscy niebywale zyskaliśmy na transformacji. Oczywiście mówi prawdę, a równocześnie sam fakt, że są pełne sklepy, że większości materialnie żyje się lepiej, to jeszcze nie wszystko, przegrana jest na innym planie – nie udało się stworzyć warunków dla działania niewidzialnej ręki rynku, nie udało się zbudować elementarnego zaufania do państwa, nie udało się doprowadzić do tego, aby zdobyta wolność była ostoją społecznego ładu, a nie wolnością Tomku w swoim domku. Wina Leszka Balcerowicza za ten stan rzeczy jest delikatnie mówiąc przesadzona, a trudno mieć pretensje do innych, którzy o gospodarce rynkowej mieli dość naiwne wyobrażenia.

Ważna jest przyszłość, a ta zależy od sytuacji obecnej. Terapia szokowa, którą zafundowali nam bracia Kaczyńscy do spółki z Andrzejem Lepperem i Romanem Giertychem zaowocowała przerzuceniem nadziei na Platformę Obywatelską. Donald Tusk jest najdłużej urzędującym premierem w ćwierćwieczu po upadku komunizmu.

Jarosław Kaczyński jako obrońca konstytucyjnego ładu budzi wyłącznie pusty śmiech. Odnosi się wrażenie, że nowa afera taśmowa jest powodem do rozpoczęcia nowej gry na starych, populistycznych i bardzo partyjnych bębnach. Czy może przerodzić się w debatę o kwestii konstytucyjnej odpowiedzialności?

Minister Sienkiewicz pozwolił sobie na skrajnie wulgarną krytyczną ocenę polskiego państwa. Czytałem kilka głosów zachwytu nad tą wypowiedzią. Autorzy tych zachwyty, podobnie jak były bramkarz, a obecnie poseł do Sejmu, ale również podobnie jak wielu polityków, na których oddaliśmy nasze głosy, wydają się nie zdawać sobie sprawy z tego, że ta ocena jest bliska prawdy, jak długo międzypartyjne mecze będą się odbywały bez poszanowania zasad gry. Dowodem na pewną

prawdziwość słów ministra Sienkiewicza jest zachowanie ministra Sienkiewicza. Kolejna samobójcza bramka Donalda Tuska jest jeszcze gorsza od jego konferencji prasowej. Posłanie policji do redakcji „Wprost” prawdopodobnie przydało całej aferze nowej jakości.

Zatroskanie pana Belki, Sienkiewicza i Kaczyńskiego są tyle samo warte. Centralnym problemem jest jednak jakość debaty, w której tak mało widzimy zatroskania o to, w co właściwie gramy. Bez poszanowania reguł gry rzeczywiście to nasze państwo to... i kamieni kupa.

Autor: Andrzej Koraszewski

Źródło: [Listy z naszego sadu](#)